

HISTORIA PANA KITY

CZ. I



Księżniczka przyglądała się badawczo Panu Kicie. Jej przyjaciel wiercił się na ławce i merdał nerwowo ogonem.

– Która jest godzina? Czy ktoś wie, jaki mamy czas? – zapytał.

– Panie Kito, czyżbyś zapomniał? – zdziwiła się dziewczynka. – Przecież na Kolorowej Wyspie czas nie istnieje.

– To prawda – odparł kot. – Do dziś jest dla mnie zagadką, jak Wasza Księżęca Mość – położył wyraźnie nacisk na ten zwrot – wie, kiedy trzeba iść do Kubusiowej Akademii.

– Och, to oczywiste, mój przyjacielu – zaśmiała się księżniczka. – Dzieci chodzą do przedszkola... gdy się wyśpią.

– Dobrze, że udało mi się przeforsować chociaż ustawę o wprowadzeniu dni tygodnia – mruknął kot.

– Szkoda tylko, że po niedzieli nie ma jeszcze jednego dnia na zabawy. Jakby się mógł nazywać? – zastanawiała się Kalinka.

– Tam, skąd pochodzę, czas traktuje się bardzo poważnie.

– A skąd pochodzisz? – zainteresowała się dziewczynka. – Nigdy mi o tym nie opowiadałeś.

– Może kiedyś – mruknął od niechcienia. – Wybacz, ale muszę lecieć.

Kalinka chciała stanowczo zaprotestować, ale Pan Kita stał już w bramie Królewskiego Placu Zabaw i z pewnością nie usłyszałby słów przyjaciółki.

*

Było już późno. Księżniczka właśnie zasypiała, gdy nagle rozległo się skrzypienie otwieranych drzwi. Wiedziała, że to Pan Kita, ponieważ każdą inną osobę byłoby słychać wcześniej na korytarzu. Kot zaś słynął z tego, że potrafił poruszać się bezszelestnie. Już miała otworzyć oczy, przywitać się z nim i zapytać, co robił przez cały wieczór, ale szybko zmieniła zdanie. Pomyślała sobie, że będzie udawała, że śpi, a gdy on usiądzie na fioletowym fotelu, wystraszy go. „Należy mu się” – pomyślała. Spod przymkniętych oczu uważnie obserwowała, jak Pan Kita skrada się ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Nagle zauważyła coś strasznego. Jej przyjaciel płakał. Widziała, jak zdejmuje kapelusz, spod którego wyjął jakiś nieduży obrazek. „Z pewnością to fotografia” – stwierdziła księżniczka. Pan Kita długo wpatrywał się w kartkę, po czym rozplakał się jeszcze bardziej. Co było dalej? Kalinkę pokonał sen...

*

Księżniczkę obudziły tańczące po jej policzku promienie letniego słońca. W każdym razie tak się jej wydawało.

– I to jest właśnie ten dzień po niedzieli, który powinien być przeznaczony na odpoczynek – zażartowała, przeciągając się na łóżku. – Późno wczoraj wróciłeś? – zapytała, jakby od niechcienia.

– Nie wiem. Przecież w całym królestwie nie ma ani jednego zegara – odparł kot. Uśmiechnął się szeroko, lecz księżniczka wiedziała, że jest to mina na pokaz.

– Czy zaprowadzisz mnie dziś do przedszkola?

– Jak się pośpieszysz, to bardzo chętnie. Podejrzewam jednak, że twoja ulubiona jagodzianka padła już łupem Franka.

Kalinka nie odpowiedziała na tę zręczną próbę skłonienia jej do podniesienia się z łóżka. Mimo to wstała. Zanim opuściła zamek, wstąpiła jeszcze na chwilę do kucharza Pietruszki.

Wypiła w pośpiechu kubek gorącego kakao i zjadła dwa pączki z różą, jakby z góry zakładając, że ominie ją zarówno pierwsze, jak i drugie śniadanie.

– Spory masz dziś apetyt – zdziwił się Pan Kita.

– Czasami mi się zdarza. Chodźmy już – ponagliła go księżniczka.

Drogę do Kubusiowej Akademii pokonali pośpiesznie i w milczeniu.

– Tutaj możesz mnie zostawić – powiedziała dziewczynka, gdy tylko wdrapali się na ostatni pagórek. Tuż przed nimi, jakby spod ziemi, wyrosła kolorowa brama Kubusiowej Akademii.

– Przecież jeszcze nie jesteśmy na miejscu! – zaprotestował kot. – Zawsze odprowadzam cię pod samo przedszkole.

– Jest tuż przed tobą. Poradzę sobie – zapewniła go. – Tylko nie zapomnij przyjść po mnie po południu.

Pomachała Panu Kicie i nie czekając na jego ewentualny sprzeciw, pobiegła przed siebie. W rzeczywistości zrobiła tylko kilka kroków, po czym klęknęła, udając że zawiązuje sznurówkę. Ukradkiem spojrzała przez ramię. Upewniwszy się, że jej przyjaciel zniknął z pola widzenia, ruszyła z powrotem pod górkę. Biegła szybko, lecz starała się być ostrożna, żeby przypadkiem się na niego nie natknąć. Zatrzymała się na chwilę, żeby złapać oddech i w tym momencie dostrzegła coś czerwonego między drzewami. „Bez wątplenia, to on” – pomyślała. Skręciła ze ścieżki w gęstwinę. Stąpała po darni, żeby nie zdradził jej odgłos łamanych gałęzi. Nigdy nie była w tej części lasu. Bała się o wiele bardziej niż podczas spotkania z Zielonym Smokiem. „Wtedy przynajmniej nie byłam sama. A teraz? Nikt nawet nie wie, że tu jestem. Tata jest przekonany, że poszłam do przedszkola” – rozpacziała, a łzy ciskały jej się do oczu. Mimo to dzielnie szła przed siebie. Rozmyślając o Panu Kicie i jego tajemniczej wyprawie, doszła na skraj polany, na której znajdowała się duża drewniana chata. Z wnętrza dochodziły do jej uszu stłumione okrzyki. Był to gwar właściwy dobrej zabawie i głośnym rozmowom. Z komina wydobywał się gęsty dym, a przez liczne lecz wyjątkowo brudne okna przebijały się blade smugi światła. Pan Kita przeciął polanę wzdłuż i nie pukając, wszedł do środka. Gwar zrobił się na chwilę jakby bardziej donośny, lecz ucichł, gdy tylko drzwi się ponownie zatrzasnęły. Księżniczka chciała podejść bliżej, ale nie mogła ryzykować, że zostanie zauważona na otwartej przestrzeni. Przeszła więc lasem wzdłuż krawędzi polany. „Pod Białym Rekinem” – przeczytała napis wyryty na drewnianej tabliczce. Nie była tu nigdy, lecz kilkakrotnie słyszała tę nazwę w rozmowach rycerzy.

Nagle drzwi się otworzyły i na werandzie pojawił się Pan Kita w towarzystwie innego kota. Ten, w odróżnieniu od jej przyjaciela, był szary, a na grzbiecie miał podłużne czarne pasy. Jego surowa mina, zaciągnięta na lewe oko przepaska, a także wzrost, którym górował nad Panem Kitą, przyprawiły księżniczkę o dreszcze. Kalinka zauważyła, że nieznajomy pchnął

lekko jej przyjaciela przed siebie. Ten o mały włos nie spadł ze schodów. Dziewczynka miała wrażenie, że ich spojrzenia na chwilę się spotkały, lecz czerwony kot szybko obrócił głowę w lewo i skręcił z nieznanym w las. Kalinka podążyła za nimi. Wiejący od morza, wyjątkowo zimny tego dnia wiatr, dał znać o sobie zanim jeszcze wyszła na plażę. Schowała się za krzakiem dzikich jagód. Dopiero wtedy przestraszyła się na dobre. Jej oczom ukazał się ogromny i posępny okręt o trzech żaglach, wokół którego kręciły się stwory, jakich nigdy wcześniej nie widziała.

– Przygotować okręt! Wyruszamy, jak tylko się ściemni! – rozkazał szary kot.

Jakaś poczwara krzyknęła: „Tak jest, mistrzu Alejandro”, po czym pobiegła do znajdującej się na plaży szalupy. Księżniczka zastanawiała się gorączkowo, co powinna zrobić. Znajdowała się z dala od swoich przyjaciół i nie знаła drogi do domu. Otworzyła swoją małą czerwoną torebkę, w której znalazła kilka połamanych kredek, gumkę do włosów, rysunek z przedszkola i butelkę soku z malin, którą podarował jej rano kucharz Pietruszka. Wypiła całą zawartość i już miała schować pustą butelkę do torebki, gdy wpadła na genialny pomysł. Rozprostowała kartkę na kolanie. Na szczęście z drugiej strony była czysta. Wzięła jedną z kredek i zaczęła pisać. Następnie odeszła jak najdalej od statku i wrzuciła zakreconą butelkę z kartką w środku do morza. „Mam nadzieję, że to, co mówił tata jest prawdą” – powiedziała sama do siebie, po czym wróciła na swoje miejsce. Już kuciała za krzewem jagód, gdy nagle poczuła że ktoś ją chwyta za ramię. To był mistrz Alejandro... Poderwała się szybko na nogi, próbując uciec w bok, lecz szary kot przewidział jej ruch. Ruszył za nią co tchu, lecz potknął się o wystający z ziemi korzeń. Niestety, upadając, zdążył chwycić księżniczkę za nogę.

– Puszczaj, potworze! – krzyczała dziewczynka. Nie był to jednak dobry pomysł, ponieważ zaalarmowała w ten sposób inne poczwary, które gromadnie przybiegły teraz na skraj lasu. Kalinka nie miała żadnych szans na ucieczkę...

C.D.N.